Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 48.** **Leszno, dnia 3. Czerwca 1837.**



Ararat.

Jako żaden z nas już tego nie pamięta, co jego kolebkę otaczało, tak podobnież i cały naród ludzki. Pierwsze lata dziecinnego wieku nikną w ciemnéj nocy, i dopiero z czasem wynurzają się z téj pomroki słabe i niepewne wspomnienia, zwłaszcza, gdy ważne jakie zdarzenie zwróciło powszechną uwagę. Najdawniejszém takiém zdarzeniem jest potop, którego pamięć niezatartą znajdujemy w dziejach wszystkich prawie narodów. Odtąd ustaje mgła niepewności, a promyk historycznéj prawdy przebijać się zaczyna.

Owa góra, która swym śnieżnym grzbietem niebo podpierać się zdaje, jest wiecznym tego wiekopomnego zdarzenia świadkiem: „Arka Noego," mówi pismo ś., „osiadła na górze Ararat." Na tę górę wyszedł Noe z ocaloną rodziną, i tam w hołdzie najżywszéj wdzięczności złożył Najwyższemu ofiarę dziękczynienia; tam więc jest druga kolebka rodzaju ludzkiego. U podnóżka Araratu mieszkali potomkowie Noego, zstępując coraz niżéj ku Eufratowi, i ztamtąd rozchodzili się po całéj ziemi. Ztąd synowie Jafeta przesmykiem kaukazkim weszli do Europy, ztąd także w czasie owéj powszechnéj wędrówki narodów od wschodu na zachód, tąż samą drogą, którą się było udało Jafetowe plemię, niezliczone wylały się ludy, od dzikich hord mongolskich z siedlisk swoich wyparte.

Ararat jest na 10 mil od Erzerum odległy, na granicy państwa perskiego. Uważany był za górę niedostępną. W naszych czasach, gdzie tyle niedocieczonych odkryto tajemnic, tyle niepodobnych prawie do wykonania uskuteczniono rzeczy, Ararat także zwiedzony został. Francuz Parrot w roku 1830 z wielkiemi trudami wdarł się na sam wierzchołek, i zmierzył jego wysokość. Ma być wysoki 16200 stóp paryskich, a zatém 1500 stóp wyższy niż góra biała (Montblanc). Na 4000 stóp pod samym wierzchołkiem, wiecznym okrywa się lodem i śniegiem. Niższy wierzchołek, małym Araratem zwany, ma 12000 stóp wysokości, i na ten wszedł Parrot, i dokonał dzieła, na które przed nim nikt się nie odważył.

O Kazimierzu Brodzińskim i jego pismach słów kilka.

(Dokończenie.)

Już jest źle, kiedy poeta jest jak zwierściadło, odbijające promienie świata zewnętrznego pod tymże samym kątem, pod którym one nań wpadły; ale biada, kiedy to zwierściadło, tylko kilka przedmiotów odbijać mogąc, jeszcze je krzywo, niezdatnie odbija. Poeta nie jak zwierściadło, ale jak szkło palne, pomiędzy światem zewnętrznym i czytelnikiem stać powinien, i promienie tamtego w takim kierunku i barwie łamać, jak każe własna jego indywidualność. To stanowi indywidualną oryginalność. Takiéj w całéj świcie Stanisława Augusta, tylko się u Węgierskiego dopatrzyć można. Ale Węgierski widział wiele rzeczy, na które mu przez szpary patrzeć wypadało, i co widział, jak widział, tak malował; tego mu przebaczyć nie chciano, i dotąd mało jest on znany i ceniony. Mostowski wydrukował jego poezye obok dobréj duszy Szymanowskiego: Damon z owieczkami, obok obrazu Hogartha.

Co Węgierski, w innéj sferze, to prawda, rozpoczął, tego Brodziński dokonał. On dopiero pierwszy szranki poezyi naszéj, dotąd tylko uczuciu i zabawie dostępne, i dla rozumu otworzył. Głębsze rozpatrywanie się w świecie zewnętrznym, dotkliwsze macanie swéj własnéj istoty, przeprowadzanie wypracowanych rozumem pomysłów przez rajski ogród poezyi, dopiero Brodziński u nas zaprowadził. U Niemców były to stare dzieje, u Anglików rzecz powszechna; u nas dopiero Brodziński poważył się materyały, na szali rozumu przeważone, w laboratoryum fantazyi na przysmaki przerabiać. Wypadek téj pracy był tak pomyślny, że nie jedna dobra dusza, spożywała jak łakoć wiersze, korzenne najgłębszą myślą.

Szczególna rzecz, że, co tylko poezyą naszą do wyższéj miało prowadzić doskonałości, to już Brodziński przewidział, i przykład do tego podał. Tak jest n. p. z metrycznością. On był pierwszy, co czując, że wiersze bez prozodyi są prozą, o tyle tylko poetyczną, o ile im myśl i wysłowienie poezyi udzielają, rozeznał, że język polski dość jest gipki, by i tę wytworność posiadać. On pierwszy zaczął umyślnie miarowym wierszem pisać. Mówię umyślnie, bo się w Karpińskim i Kniaźninie gdzie niegdzie zwrótka, mniéj kalecząca nawykłe do prozodyi ucho, nadarzy; ale tylko przypadkiem. Szkoda tylko, że prócz D. Minosowicza, podobno nikomu się nieudało, godnie w te ślady Brodzińskiego wstąpić. To przyjdzie jednak z czasem. Sama poezya gminna, dziś coraz to bardziéj poważana, poezya gminna, która się tak ściśle zawsze i wszędzie prozodyi trzyma, naprowadzi wieszczów naszych na uczucie, że prozodya w wierszu musi, jak każda piękność formy zewnętrznéj, dodać wdzięku osnowie wewnętrznéj. Czy to jednak rychło nastąpi, trudno przewidzieć: bo dziś, to jest w ostatnich czasach, wszystko się nazbyt ślepo ciśnie w ślady jednego geniusza, na horyzoncie naszym jaśniejącego, i w ciżbie téj każdy zapomina swéj własnéj indywidualności, i wszelkich względów pobocznych. Większa część poetów z ostatniego decennium świeci, jak ogon komety: nie własném światłem; a przecież zasłania gwiazdy osobne, na uboczu świecące. Jenerał Morawski był uszczypliwy, wyrzucając temu warkoczowi komecianemu naśladowanie nawet okładek książki; ale Morawski miał słuszność.

Piękna to była w ostatnich czasach moda, że nam ciągle z książek i z katedr zalecano, zaprawiać się na złotéj polszczyznie Zygmuntowskich pisarzy. Tę modę protegował szczególniéj S. Potocki; szkoda jednak, że na jego własnych, tak pięknych pismach, nie można się śladów takiéj zaprawy doczytać. Na nowych poetach jeszcze trudniéj jéj dośledzić. Zygmuntowską polszczyznę ja tylko między poetami u Mickiewicza w Grażynie, i u Brodzińskiego, niemal we wszystkich jego pismach widzę. Brodziński położył pod tym względem nie mało zasług. Wiele słów, zagrzebanych pod salonowym pyłem jakiéjś dziwnéj wytworności języka, którą nam w ostatnich czasach narzucić chciano, on odkopał, i w język na nowo wprowadził. Zdaje się, że jego stósunki za młodu jeszcze z Jackiem Przybylskim, tym niezmordowanym, i często tak nieszczęśliwym wskrzesicielem słów zmarłych, w części nań wpłynęły; tylko że Brodziński miał smak i sąd bardzo zdrowy i wytworny, czego tamtemu nie dostawało; wyrazy więc Brodzińskiego wszystkie się ostały; Przybylskiego ledwie kilkanaście (n. p. pomnik i t. d.)

Takim był Brodziński jako poeta. Jego proza, rozrzucona po pismach czasowych, w części tylko małéj bardzo, razem wydana, nosi na sobie zupełnie oryginalną cechę, i długo będzie służyć jako reprezentant do téj prozy z nowszych czasów literatury naszéj; bo duch jéj szedł w paralelli z duchem czasu. Są tacy, co zupełnie przeciwnego są zdania; tego skrzepłego sporu niemyślę dziś odgrzewać.

Pisma Brodzińskiego są niemal samemi poszukiwaniami w krytycznéj i estetycznéj sferze naszéj literatury zapełnione. Ważne są one bardzo dla nas, bo Brodziński był bez wątpienia jednym badaczem naszéj literatury, i przed nim ani śladu krytycznych badań w całym zakresie literatury pięknéj niema. Jednym zabytkiem poszukiwań krytyczno-literackich są (poczęści biografie niektóre, i) mowy, miewane na posiedzeniu T. W. P. N. Mowy te pochwalne, aczkolwiek nieraz wymowne, mało mają pod względem krytyki wartości. Zamiast głębokiego sądu, trafia się w nich zwykle na piękną deklamacyą; zamiast objaśniających postrzeżeń, na porządnie uszykowane frazesy; zamiast soli atyckiéj, na kadzidła, miane na cześć zmarłych i żyjących i wszystkich świętych wreszcie. Krasicki pisał także o poetach polskich, ale o téj pracy można

to samo tylko powiedzieć, co on tak dowcipnie o Ryczywole powiedział. Juszyński napisał regestr poetów, bardzo kompletny, ale tylko regestr. Ossolińskiego przewyborne prace sterczą jak Torso w téj luce: są one doskonałe, ale tylko ułamki pysznego posągu atletycznéj postaci. Bentkowskiego katolog książek polskich, systematycznie spisany, który on (niewiem serio czy żartem) szumnym tytułem „Histor. Lit. Pol.“ zaszczycił, niezasługuje ani na wzmiankę, kiedy się o dziejach literatury i krytyce jéj mówi. Dopiero Brodziński kursami swemi, wszedł w tę chaotycznie zawaloną śpiżarnię, rozpatrzył się w pojedyńczych jéj skrzyniach, powyciągał z niéj zaniedbane zapasy, i poustawiał je w nowém świetle samego głębokiego znawstwa. Nieraz pokazały się nowe zasoby; o wielu cenie dopiero się wtedy dowiedziano. Ktokolwiek dziś dzieje literatury naszéj krytycznie pisać zechce, temu już droga łatwa, bo praca Brodzińskiego tysiączne drobne dróżyny, któreby przyszły badacz przebiegać musiał, w bitych niewiele gościńców zredukowała.

Styl Brodzińskiego jest nader charakterystyczny. Łączy się w nim dziwny i prawie niepojęty sposób, męska siła i wdzięk miękki, jak na posągu Apollina, gdzie przez pełne, lekkookrągławe zarysy, moc i jedność wytryska. Zdanie to o stylu Brodzińskiego, może komu brzmieć jak sprzeczność; a jednak kto uważnie pisma jego czytał, przyzna tę prawdę. Owa siła leży w mocnych myślach; takiéj siły nie przytłumi najmiększe wyrażenie, jak suknia kobieca nie ujęła Achillesowi mocy; owa siła leży w wyrażeniach dobitnych i jasnych, w niewypracowanéj zwięzłości; owa miękkość stylu polega na nader wytwornym doborze wyrażeń i wyrazów, niewymuszonym, a jednak kształtnie i z gracyą prowadzonym toku, i wreszcie na pewném czemś, co pomiędzy naszymi pisarzami tylko Brodzińskiemu było właściwe. Niektóre rozprawy (n. p. o łagodzeniu języka w zdaniu sprawy o pisowni) tak są ładnie pisane, że kiedy je się głośno dobrze czytane słyszy, jakby na operze, zapomina się treści dla czarującéj muzyki, i tylko się łowi uchem brzmiące postaci myśli, zapominając o ich duszy. Słowa tak się harmonijnie wiążą, okresy tak potoczysto płyną, że się chwilami, dla téj muzyki mowy, tylko czucie mieć może. To pomiędzy polskimi prozaistami tylko w Brodzińskim, jak pomiędzy poetami tylko w Mickiewiczu (n. p. pieśń: Wilija, naszych strumieni rodzica!!!) mógłem odkryć tę piękność.

Pisma Brodzińskiego, zawierające proroctwa naszéj nowéj wiary poetyckiéj (jak n. p. jego rozprawa o klass. i romant.) są w dziejach literatury bardzo ważne, bo one stanowią ostatnie ogniwo dawnych dziejów, zastarzałych historyi, i pierwsze ogniwo naszéj przyszłéj świetności literackiéj. Obszerniéj, trudno nateraz o tém mówić.

Jak Brodziński był na wszystko baczny, co tylko w literaturze naszéj ważném i potrzebném było, można i z tego wnosić, że on nad słownikiem synonim polskich pracował. Praca ta szła wolno, i niewiem jak daleko ją Brodziński posunął, ale wiem, że była wyborną. Brodziński po autorze słownika Lindego, był zapewne najoczytańszym Polakiem, i był, co rzadko u nas, z filozofią obeznany, ztąd łatwo wnosić o wartości pracy jego w tym zawodzie.

Dzieła Brodzińskiego, razem wydane, wynosiłyby, przynajmniéj 20 tomów. Wytłumaczył on księgę Joba, miał przytém w rękopiśmie bardzo wiele poezyj, których dla okoliczności czasowych wydać nie mógł; te, ile sobie przypomnieć mogę, tom by cały wyniosły. W Pamiętniku Bentkowskiego i jego własnych, było bardzo wiele jego poezyi bezimiennie umieszczonych: z jego tak licznych pieśni gminnych, ledwie kilka było w dwóch tomach jego poezyj. Brodziński nadto przetłumaczył wszystkie pieśni słowiańskie i litewskie, umieszczone w Herderze, (z tego kilka pieśni było w pamiętniku L. Szyrmy) i bardzo wiele indziéj rozrzuconych pieśni ludów czeskich, i serbskich; same poezye słowiańskie wyniosą tom cały. Brodziński napisał kilka powieści, z których niektóre bezimiennie w pismach czasowych były umieszczone (n. p. chwila wesołości w 1822 czy 3). Nie wszystkim także będzie wiadomo, że bardzo wiele tłumaczeń z obcych języków, które my bezimiennie znamy, są Brodzińskiego pióra; (n. p. cierpienia młodego Werthera, rękopism z wyspy ś. Heleny i t. d. i kilka oper (n. p. Włoszka w Algierze i t. d.) tragedyi (n. p. Marya Stuart), znanych tylko ze sceny, także on przetłumaczył; ja wnoszę, że rachując na liczbę takich, Brodziński jest dotąd najpłodniéjszym pisarzem naszym, niewyjąwszy nawet Niemcewicza.

Pisząc o Brodzińskim, musiałem wielu punktów w literaturze dotknąć, i wyrażałem zdanie moje bez ogródki. Może będą tacy, co mi za złe wezmą, że ja, zupełnie w świecie uczonym nieznany, niemając za sobą żadnéj powagi, śmiałem się na niejedno targnąć, co sławni (!) nasi, pisarze milczeniem pokrywali. Na taki zarzut niemam co odpowiedzieć; ja tylko do wyrozumialszych się zwracam. Szukajmy prawdy bez względu, a postawim się bliżéj przy bezwzględnym rozumie. To obwijanie wszystkiego w bawełnę, długo nas gnatwało; czas już te śmieszne pęta zrzucić. Wyciągnięcie zysków z téj swobody od nas samych zależy; każdy może głęboko prawdy szukać, bez wpadania w kał brudnéj osobistości.

Będą i tacy, co moje zdania o Brodzińskim za przesadę obwołają. Tego się szczególniéj spodziewam od tych, co jeszcze przed 1831 rokiem cwałem do Utopii lecąc, w przemijaniu i Brodzińskiego potrącili. Gdyby oni nie tak byli pędzili, przystanęli i popatrzyli uważnie na Brodzińskiego prace, byliby się przekonali, że i on tam szedł, gdzie nas duch czasu woła; byliby dostrzegli, że nim się wyprawę robi, trzeba zapasy porobić, a Brodziński takich niemało przysposobił. Każdy szedł swoją drogą, ale wszyscy poczciwi szli do jednego celu. Niedorzecznością jest wymagać,



Nadgrobek K. Brodzińskiego w Dreźnie.

żeby wszystkie myślące głowy, jak trzody szły tąż samą ścieżką. Ale takie prawdy, to dla wielu groch na ścianę. Są tacy, co myślą jak Bombastus Paracelsus, który wszystkich współżyjących lekarzy na dwie klassy podzielił: na takich, którzy z nim trzymają, i którzy nie są z nim jednego zdania; ci ostatni nic nie warci; pomiędzy pierwszymi było tylko dwóch polskich, trzech saskich i jeden szwedzki lekarz coś wart.

Prawie mimowolnie ciśnie mi się w końcu porównanie Brodzińskiego z Mickiewiczem; obydwaj są prawdziwemi dziećmi Apolina, ale jednemu z nich wlał Bóg słońca światło swoje, drugiemu ciepło. Mickiewicz jest pierwszy, co tak rozświecił poezyą naszą, że ona nas zrazu lśniła, i że ona wkrótce po całéj ziemi jaśnieć będzie; a już zaczyna. Brodziński ogrzał jéj niwę, i tak ją uprawił, że się dziś na niéj wszystko co Mickiewicz, Zaleski, Garszczyński, Malczewski posieją, i przyjąć się, i wydać plon musi bujny. Jak w całéj naturze skoków nagłych nigdzie niema, tak i w literaturze. Brodziński stanowi przejście z małoznaczącéj naszéj poezyi do dzisiejszéj tak wielkiéj Mickiewicza i jego towarzyszy (niemówię tu naśladowców). Nieujmując przez to wartości Mickiewiczowi, powiem śmiało, że, gdyby nie zjawienie się Brodzińskiego, onby w Polsce nie zaraz był tak pojęty, choć może równie uwielbiany. Brodziński nie był wielkim poetą, ale był wielkim naszym pisarzem. Gieniusz Mickiewicza niemógł się zniżać do tylu drobnych posług, jakie literaturze naszéj Brodziński robił; byłto pegaz zaprzężony do pługa; Brodzińskiego cały duch wieszczy niemógł się wzbić tak wysoko, i tak śmiałym lotem pędzić jak Mickiewicza. Obydwaj stanowią w całéj literaturze naszéj dotychczasowéj dwa najznakomitsze zjawiska, i dopełniają się niejako wzajemnie, jak się myśl i słowa, duch wielki i piękne ciało dopełniają.

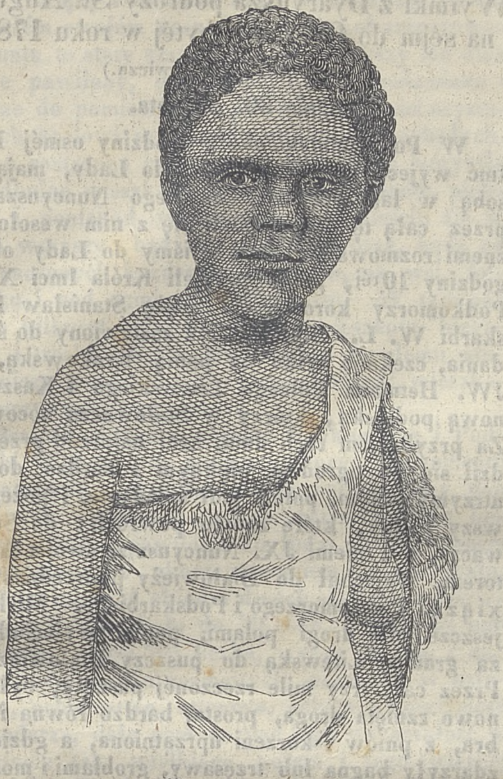
S.

Vandiemiensland.

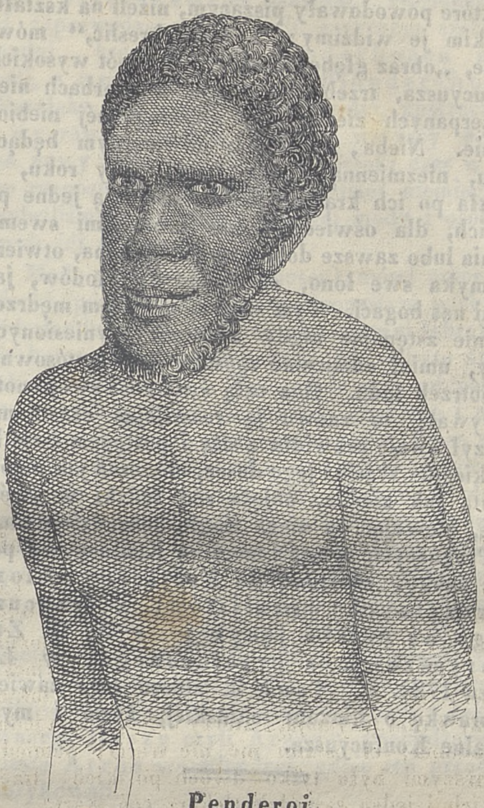
Obrazek przedstawia z natury zdjęte i utrafione rysy mieszkańca Vandimiensland nazwiskiem Penderoi i jego córki Trucanani. Są to ludzie czarni, zręczni wprawdzie i bystrością zmysłów przechodzą Europejczyków; ale ich powierzchowność nie ma nic powabnego. Po przykrych skałach, gdzie Europejczycy z wielką tylko ostrożnością postępować mogą, oni z dzidą w ręku ścigają Kengury, w powietrzu nawet ptaki zabijają. Rozpoznają z łatwością po skałach ślady stóp ludzkich, i rozróżniają męzkie od kobiecych, powiedzą zaraz, czy osoba niosła ciężar jaki, lub szła lekko. Ich wędrowny sposób życia, nie dozwala urządzenia domowego: nie posiadają żadnéj własności, i jak przychodzą do legowiska na noc, tak je też nazajutrz opuszczają; albowiem co ze zwierząt lub muszli zdobędą, to spostrzebują tymczasem: nic więc nie mają z sobą prócz ognia, którego zachowaniem już nie kapłanki westalki, lecz ich żony się trudnią. W nocy widok ich legowiska ma coś powabnego; ogień tu i owdzie rozniecony, oświeca nagie ciała mężczyzn, kobiet i dzieci, usuwając nie jednę rzecz niemiłą i odrażającą, która się we dnie zaraz na pierwszy rzut oka widzieć daje. We dnie dopiero spostrzegamy nędzę, ubóstwo i niedołężność takiéj wędrującéj zgrai, a pierwsze wrażenie romantyczne niknie powoli. Nie można ich nawet niechlujnymi nazwać, ponieważ ta wada tam się tylko znajduje, gdzie już ludzie na pewnym stopniu cywilizacyi zostają; tutaj zaś niemasz ani śladu cywilizacyi: sposób, jak potrawy swoje gotują i jedzą, jak pozostałe szczątki zbierają i z psami się dzielą, ma coś obrzydliwego! Lecz w zobopólnych stósunkach płci nic nie zachodzi, cobyśmy nieprzyzwoitém nazwać mogli. Że obie płci chodzą nago, do tego Europejczyka nawet oko z czasem przywyknąć może, i nie uważałem, aby to kiedy do rozpusty jakiéj było powodem, nawet wtenczas, gdy jéj okoliczności sprzyjały; n. p. kiedy kobiety pomagają mężczyznom robić toaletę, która się na tém zasadza, że ich ciała tranem nacierają, i w niektórych miejscach glinką czerwoną posypują: co wszystko odbywa się bez najmniejszéj płochości i z powagą. Żyją w porządnych małżeństwach, a poligamia jest u nich nieznana.

Ci czarni wierzą w dobrego i w złego ducha: zły panuje w nocy, i dla tego po zachodzie słońca nie oddalają się ze swego legowiska, i w ciemności są bojaźliwi. Od dobrego zaś ducha, mają wodę, ogień i żywność, twierdząc, że dobry później dopiero się zjawił, a to, ażeby naprawić to, co pierwszy złego nabroił: że on ich nauczył mowy, i że im odjął długie ogony, które przedtém mieli, podobnie jak kengury. Umarłych swoich palą, a ich popioły w ziemi zakopują i gałązkami przykrywają. Krewni zawięzują sobie po szczypcie tych popiołów w skóry zwierzęce, które na sobie noszą. Lecz i ci czarni, podobnie

Stotexski Julian



Trucanani.



Penderoi.

jak inni pierwotni tych krajów mieszkańcy, uległi przemocy Européjczyków: a lubo tamci byli daleko liczniéjsi, przytém w zdradę i różne fortele bogaci, któréj nieraz nieostrożni koloniści stawali się ofiarą; jednak broń ognista wyrugowała ich z ich siedlisk, i przeznaczyła im pewne tylko granice wysp, których przestępować im niewolno: od roku 1829 zaczęto myśleć o ich ucywilizowaniu; z témwszystkiém wszelkiéj oświacie prawie są nieprzystępni: do strojenia min i grymasów bardzo sposobni, i dla tego z wielką łatwością naśladują maniery i giesta osób, które im w oczy wpadają. Ich ulubioną potrawą jest rzepa, któréj nadzwyczajną ilość zjadają, albowiem wszyscy mają dobry appetyt, a przysłowie: „że czarny dzień i noc jeść może“ dowodzi ich żarłoczności.

Konfucyusz.

(Dalszy ciąg i koniec.)

Zamierzywszy tylko mówić o Konfucyuszu jako o miłośniku mądrości i nauczycielu cnoty, nie będziemy go uważać wcale jako założyciela wiary. Chiny są jedyną zapewne na świecie ziemią, gdzie nasiona próżnych badań i sporów najmniéj zabrały roli, i gdzie duch tolerancyi był aż do naszych czasów pierwszą religii zasadą. Próżnobyś Chińczykowi porównywał rożne nauki wiary i systemata: wszystkie, odpowieci, są dobre, jeśli ludzi do cnoty prowadzą. I temu to rozpowszechnionemu sposobowi myślenia, a nie innym zapewne pobudkom przypisać należy nagły postęp nauki, którą zwolennicy Chrystusa do Chin zanieśli. Chińczyk przyjął ją mile jak gościa, ale wnet dom swój przed nią zamknął, skoro się w nim rozrządzać poczęła.

Poprzednicy Konfucyusza nie zapuszczali się w badania, w których giną pojęcia nasze; słuchali natchnień serca, ale ich nie głosili sposobem wyroczni, przekonani, iż fałszywe wyobrażenie rzeczy, szkodliwszém jest często nad zupełną niewiadomość. Konfucyusz wierny przodkom, oddalał, ile mógł, umysły swych uczniów od niepojętych badań, które próżność rodzą, miłością własną będąc pielęgnowane; cześć przodków i święto rólnictwa, są w ustawach Konfucyusza zasadą religijnych obrzędów. Pierwsza, wznawiając pamięć cnót, wzbudza w żyjących żądzę naśladowania i stania się podobnéj czci godnymi. Drugie przypominając dzieciom matki ich dary, jest źródłem téj świętéj miłości kraju, któréj Chińczyk dla każdego być może przykładem. On w swéj ojczyznie widzi świat cały, a za jéj granicami nieznajduje szczęścia.

Kończąc obraz męża, przytoczymy kilka słów z pochwały mędrca tego, napisanéj przez Tsetso, jednego z najznakomitszych jego uczniów. Jeśli nadętość, oryentalnemu właściwa stylowi, nosi w niéj cechę przysady, zważajmy raczéj na ucz-

nia, które powodowały piszącym, niżeli na kształt, w jakim je widzimy: „Chcąc kreślić,“ mówi Tsetse, „obraz głębokiéj mądrości i cnót wysokich Konfucyusza, trzeba go szukać w skarbach niewyczerpanych ziemi, albo niezmierzonéj niebios krainie. Nieba, chociaż w odwiecznym będące ruchu, niezmienną koleją toczą pory roku, a światła po ich krążące łonie, następują jedne po drugich, dla oświecenia nas promieńmi swemi. Ziemia lubo zawsze dobroczynna i płodna, otwiera i zamyka swe łono, stósownie do płodów, jakiemi nas bogaci. Tym samym sposobem mędrzec ten nie zstępując nigdy z krain wyniesionych cnoty, umiał odmieniać sposoby nauk, stósownie do potrzeb ludu. Raz całą świetność swéj cnoty odkrywał; to znowu ją rozwijając cząstkami, mierzył swoje prawidła z siłą i postępem światła ludzkiego. Wielka jego dusza, obszerna jak niebo, bogata jak ziemia, objęła ród ludzki w swém łonie, zlewając na niego ciągle dobrodziejstwa.“

Pragnących czystą i moralną Konfucyusza poznać naukę, odsełamy do krótkiego zbioru starożytnych moralistów, z francuzkiego na polski język przez X. G. Zacharyaszewicza przełożonego, w Łowiczu 1784. 8. Tomik 2. zbioru tego zawiera rozprawkę o filozofii chińskiéj, życie i myśli moralne Konfucyusza.

Myśli.

1. Wszystkiego łagodnością dokazać można. Cóż miększego nad wodę? przecież ona najtwardsze wydrąża kamienie.

2. Sumienie nasze powinno być starannie ocierane. W mieszkaniu, gdzie nikt nawet nie bawi, kurz zawsze okrywa przedmioty.

3. Wielu to gubi, że boskie rzeczy chcą po ludzku sądzić.

4. Polityka jest jedną z gałęzi zakazanego drzewa wiadomości złego i dobrego.

5. Cywilizacyą europejską możnaby przyrównać do polerowanéj blachy, która wprawdzie błyszczy, lecz nie jest to blask pochodni.

6. Człowiek tak wierzy w nieśmiertelność, że nawet na ruinach, lubi kreślić swe imię.

7. Szczęśliwi ludzie poziomego i pokornego serca: ich ciało nisko, ale dusza wzlatuje ku niebu. Biada zuchwałym, którzy głowę nad poziom wynoszą, a umysł pogrążają w ziemi! Gdy Bóg sunie prawicą po poziomie, cóż się stanie z dumnemi głowami?

8. Komukolwiek zdarzyło się nawiedzić Alpy lub inne góry, uważał zapewne różnicę charakteru góralów od reszty krajowców. Jakoż góral gościnnością, słodyczą, prostotą obyczajów i religijném uczuciem przewyższa mieszkańców doliny, u których zwykle panuje samolubstwo, zatwardziałość serca, zepsucie i bezbożność. Czyżby to ztąd pochodzić miało, że w miastach błoto, a na górach śnieg czysty?

Wyimki z Dyaryusza podróży St. Augusta na sejm do Grodna odbytéj w roku 1784.

(Przez Ad. Naruszewicza.)

Dnia 30. Augusta.

W Poniedziałek około godziny osméj Król Imć wyjechał z Stołowacza do Lady, mając z sobą w landarze JX. dawnego Nuncyusza, i przez całą tę drogę bawił się z nim wesoło różnemi rozmowami. Przybyliśmy do Lady około godziny 10téj, gdzie przyjęli Króla Imci Xiążę Podkomorzy koronny, i xiążę Stanisław Podskarbi W. L. Stół już był zastawiony do śniadania, czekano tylko na panią Krakowską, na JW. Hetmana Polnego Litewskiego i Kasztelanową podlaską, którzy w Stołowaczu nocowali. Za przybyciem tych dam, krol najprzód przechodził się po ogrodzie pięknym i bardzo dobrze utrzymywanym, potém jadł śniadanie, i pożegnawszy panny, które znowu powróciły do Stołowacza, a z niemi JX. Nuncyusz ze swoim Audytorem, wyjechał do Białowieży poprzedzony od xiążąt Podkomorzego i Podskarbiego. Mieliśmy jeszcze milę drogi polami, potém wyjechaliśmy za granicę Litewską do puszczy Białowiezkiéj. Przez całe trzy mile rzeczonéj puszczy, była na nowo rznięta droga, prosta, bardzo równa i dobra, z pniów i korzeni uprzątniona, a gdzie się zdarzyły bagna lub trzęsawy, groblami i mostami ułatwiona. Bawił się przez czas niejaki król słuchaniem różnych wierszy, któreśmy czytali, oraz przeglądaniem mapp czyli kart jeograficznych podróży swojéj przez dobra ekonomiczne, które mappy xiążę podskarbi świeżo sporządzone ze wszystkiemi wyrazami miéjsc ofiarował, potém ze zwykłą zawsze wesołością rozmawiał. W lesie tym milę od Białowieży, zastaliśmy na drodze gromady chłopów, pilnujących ostępu, czyli parkanu, sporządzonego na zatrzymanie różnego zwierza, łosi, dzików, niedźwiedzi i żubrów, których to parkan opasywał na pół mile w koło. Stojących w pobliżu kmieci swoich król pieniędzmi udarował: za zbliżeniem się do miéjsca, o cztery mile, zajechali drogę królowi mający daléj konwojować Imć Pan Grabowski, Szef gwardyi konnéj Lit. z oficerami swego regimentu, także pan Bielak półkownik przedniéj straży ze swojemi, i spieszywszy się z koni, rękę królowi ucałowawszy, poprzedzali pana do Białowieży. Z tego albowiem miéjsca już litewskie wojsko zaczęło konwojować, a do niego z Bielska trzymali koronni konwój P. P. Nowicki porucznik i Deszert chorąży kawaleryi narodowéj ze dwudziestu czterech ludźmi, tudzież ułani królewscy dywizyi pana Azulewisza.

Białowieś, czyli Białowieża, jest to miéjsce między lasami, na koło tę wioszczynę otaczającemi. Sławném one uczyniło polowanie na żubry przez Augusta III. króla, co wyświadcza pamięć na obelisku niewielkim, kamiennym, około drogi stojącym. Przeciąg czasu od tamtéj daty nadpsował mocno budynek drewniany na wzgórku sto-

jący. Xiążę Podskarbi Lit., terazniéjszy rządca, w całém swojém gospodarstwie kazał zreparować z gruntu to stare gmaszysko, przydawszy mu dwa spore pawilony, drewniane, dobrze podzielone i zdolne do pomieszkania powiększéj części asystujących królowi w téj podróży i gości przybyłych. Jakoż roztropna przezorność tego pana uczyniła to odludne mieszkanie miéjscem wygodném, pięknem i poniekąd wspaniałém. Pomieścili się w niém wszyscy, bądź w samym dworze, bądź na wyznaczonych każdemu kwaterach, na wsi, folwarku i pod namiotami kilkunastu. W tym nacisku kilkuset ludzi nie było zamieszania, bieganiny i troskliwości o stanowisko, każdemu stanowniczy z ordynacyi, na piśmie podanéj, mieszkanie przyzwoite wyznaczył.

Przywitali króla xiążęta Podkomorzy i Podskarbi W. Lit. i do przygotowanego apartamentu zaprowadzili. Oglądał potém najjaśniéjszy pan wewnątrz wszystkie pokoje pryncypalnego budynku, potém pawilony dla ludzi swoich i gości destynowane z ukontentowaniem i pochwałą, wkrótce nastąpił obiad u dwóch stołów: u pierwszego z królem było do 30 osób, u drugiego pod namiotem więcéj 50; liczba, wybór potraw i deseru, tudzież win rozmaitych, porządek w usłużeniu, ochędostwo, attencya, ochota i uprzejmość gospodarza, dała nam poznać jego wspaniałość w przyjęciu tak wielkiego gościa i jego wiernéj czeladzi. Na końcu stołu nie zapomniano téż staropolskim zwyczajem wielkiego kielicha, który prawdziwie mógł się nazwać Vitrum gloriosum dla wielkości i różnych rysunków.

Po obiedzie i kawie, spocząwszy nieco król w swoich apartamentach, słuchał śpiewania na dziedzińcu kilkunastu kozaków ukraińskich z dóbr xiążęcych. Przejeżdżali potém konie swoie rotmistrz i chorąży tych kozaków nadwornych, ludzie mężni, zawołani i sposobem milicyi swojéj ubrani. Daléj wyprowadzono konie xięcia, a nakoniec oglądał król młode niedźwiedzie w klatkach i młode dwa żubrzyki chowane od kilku miesięcy, a od kóz kilku przyuczonych karmione. W czasie tych zabaw wszystkich przybyli goście najprzód z Sieraza starostwa swojego. J. P. Czarowski, kasztelan Wojnicki, potém J W. Hetmanowa i Kasztelanowa Podlaska i wszystkim dano wygodne stancye, prawdziwie nikomu na niczem niezbywało. Pod wieczór były gry w wiska na trzech stolikach, a około 8méj roznosiła liberya różne potrawy suche na półmiskach, oraz poncze, frukta, wina, aby każdy jadł co chciał bez subjekcyi i etykiety stołowéj. Najjaśniéjszy pan ukazawszy się w sali i zabawiwszy trochę, poszedł na spoczynek w dobrém zdrowiu i humorze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Moda szesnastego wieku.

Uderzyło to może nie jednego czytelnika, że w Pamiętnikach Paska, Szwedzi, Niemcy i Duńczycy pludrakami są nazwani. Pochodziło to od zaprowadzonego u nich zwyczaju szerokich spodni, które Niemcy Pluderhosen nazywali, a może pierwiastkowie Plunder-hosen. Wszelako, jak sam Pasek twierdzi, powracający z wyprawy duńskiéj Polacy, wszyscy prawie ten nowy ubiór przejęli, i na niejaki czas w Polsce rozpostarli. W jedném z dzieł niemieckich, znaleźliśmy następujący opis téj mody i osobliwszych jéj skutków.

Moda pludrów (Pluderhosen), mówi autor niemiecki, przybyła do nas w szesnastym wieku od Niderlandczyków, i nie mogli tameczni fabrykanci nic korzystniéjszego wynaleść dla odbytu swych sukien i bławatów. Te spodnie szły od pasa aż do trzewika, były niezmiernie obszerne i miały w wielu miejscach przecięcie, przez które przeciągnięta była podszewka z cienkiéj jakiéjś materyi, ale w tak mnogie fałdy ułożona, że do jednéj pary spodni trzeba było około sto trzydziestu łokci téj materyi. Z początku noszono je sukienne, i potrzebowano na nie pięć łokci szerokiego sukna, około dwudziestu łokci jedwabnéj podszewki, aby ją wszyć w miéjsca przecięte. Ale gdy późniéj owe pludry co raz w obszerność przybierały, i sukna byłyby za ciężkie, robiono je całkowicie z jedwabnéj materyi, czyli z tak nazwanego Raszu czyli Araszu, pochodzącego z miasta Arras we Flandryi, gdzie ten przedmiot fabrykowali.

Gdy jednak rozszerzająca się ta moda szkodliwe zaczęła mieć skutki, ponieważ mniéj majętni chcąc bogatszym wyrównać, rujnowali się w nabywaniu takowych pluder, wielu xiążąt niemieckich wydało przepisy policyjne, zakazujące podobnych ubiorów noszenie. Najbardziéj usiłował wadę tę wytępić Elektor Brandeburski Joachim II, a gdy mimo ostrych zakazów, ówcześni gładysze zupełnie się stroju swego trzymali, Elektor surowszych użył środków. Spotkawszy raz w ulicach Berlina dwóch mieszczan, przechodzących się w ogromnych i bogatych pludrach, i jeszcze jak na ściągnienie patrzących uwagi, przygrywającemi trębaczami otoczonych, rozkazał natychmiast obu Pludraków do klatki żelaznéj zamknąć, i tak wśród publicznego placu na pośmiewisko uliczników wystawić. Wszelako mimo tak przestraszającego przykładu, utrzymała się jeszcze w Berlinie moda holenderska. Zaczęli więc kaznodzieje z ambon przeciw gorszącemu przepychowi powstawać; ale mimo ówczesnéj gorliwości religijnéj, wszystkim klassom wspólnéj, nie skutkowały te duchowne przestrogi. Jednemu nawet kaznodziei w Frankfurcie nad Odrą, który mocniéj od innych przeciw owym Pludrom piorunował, swawolna młodzież przed samą kazalnicą obżałowany ubiór wywiesiła. Odtąd już nietylko z ambony, ale nawet w pismach publicznych duchowni wyklęty strój ohydzać się starali. Najgorliwszym okazał się w tym względzie Superintendent Andrzéj Musculus w Frankfurcie. Ogłosił on drukiem



Moda siedmnastego wieku.

kazanie roku 1556, pod tytułem: Pludroczart (Hosen-Teufel).

Ostrzega on w niém wszystkich Niemców w ogólności, a najszczególniéj Brandeburczyków, że ten gorszący ubiór lada dzień karę Boską a może i sąd ostateczny sprowadzi; że to jest istotnie czartowski wynalazek; że niema żadnéj wątpliwości, że pod każdą fałdą téj bezbożnéj odzieży mały czarcik się ukrywa. Na tytułowéj karcie tego kazania jest rycina wystawiająca młodzieńca w szerokich spodniach, już otoczonego czartami, co mu wielorakie męki zadają. Dzieło to chciwie było czytane i prędko rozkupione, ale nie nawróciło upartéj w stroju swem młodzieży. Wyszło za tém tego samego roku drugie wydanie niniejszego kazania, pod tytułem: Vom zerluderten Ehr- und Zucht-vergessenen pludrichten Hosenteufel, Ermahnung und Warnung.

W południowych Niemczech równie grassowała ta moda. Xiążę Krzysztof Wyrtemberski, wielki nieprzyjaciel przepychu i obcych zwyczajów, widząc, że się strój ten zaraźliwy już na dworze jego rozpościerać zaczynał, chwycił się najskuteczniéjszego sposobu. Rozkazał, aby natychmiast kat i jego pomocnicy w takie spodnie się przywdziali i w nich chodzili. Skoro ich tak ubranych postrzeżono, obrzydzili ten strój dworacy i szlachta, i już się w tamtych stronach nic podobnego widzieć nie dało. W innych częściach Niemiec utrzymał się zwyczaj pludrów aż do końca szesnastego wieku.

Dopóty dziejopis niemiecki. My to tylko dodamy, że przy niejakiéj może odmianie musiały się te holenderskie szarawary dłużéj jeszcze utrzymać nawet w krajach niemieckich; bo widzimy, że aż do połowy siedmnastego wieku używane one były w wojsku szwedzkiém, duńskiém i nawet brandeburskiém; że uderzały oczy niezwykłych do nich Polaków, i że od nich samych nakoniec choć na krótki czas przejętemi zostały.

S. P.

Ojciec do ojca.

(Z włoskiego.)

Dwiema drogiemi córy Bóg nas uszczęśliwiał,
Radował ich skromnością, wdziękami zadziwiał,
Ale wkrótce w ich cnotach upodobał sobie,
Na obie razem spojrzał, razem zabrał obie.
Moja wraz z gwiazdą szczęścia, co dla niéj zajasła,
Z światłem ślubnéj pochodni w oczach moich zgasła;
Twoja murów zakonnych niewolnica święta,
Skryła się w nich, na zawsze z swym Bogiem zamknięta.
Stoim teraz nieszczęśni, obaj płaczem razem.
Ty przy kracie klasztornéj, ja nad zimnym głazem;
Ty przynajmniéj na ulgę twojego cierpienia
Słyszysz jeszcze twéj córki religijne pienia,
Lecz moją cóż mi zwróci? ach próżno żal nowy
Z każdym rankiem przynoszę na jéj głaz grobowy;
Próżno ją wołam, błagam, córką moją zowię;
Stukam, stukam i stukam, a nikt nie odpowie.

F. M.

Tęsknota za krajem.

(Pieśń szwajcarska.)

Czemu ciągle w smutku żyjesz
Utęsknione serce moje?
Czemu tak gwałtownie bijesz?
Ach, tu same niepokoje!
Na doliny pod Alpami
Radbym lecieć z jaskółkami!

Gdzie lodowe sterczą ściany,
Tam ojczyzna moja leży:
Kraj to piękny, kraj kochany,
Rogi dzwonią, echo bieży;
Piękniejszego nie ma w świecie,
Obym go raz ujrzał przecie!

Ponad wioską niedaleko,
Był mój domek przy opoce;
Drzewa kwitły jakby mleko,
A jak złoto drzew owoce.
Głos mój rano budził skały,
Które głośno mnie witały.

Większa radość w powitaniu,
Gdy kochanki będąc bliski,
Odbierałem przy rozstaniu
Jéj całunki i uściski.
Lecz nie wiecie wy ludkowie
Jak się moja luba zowie!

Kiedyż wrócą te poranki?
Ach, ojczyzna ztąd daleka!
Jak daleko do kochanki!
Dziś odemnie sen ucieka,
Łzy na oczach, w sercu trwoga:
Ojczyzno, jakżeś mi droga!

S. B.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)